

ZAZDROŚCISZ MI?



AGNIESZKA
PESZEK

Zazdrościsz mi?

AGNIESZKA
PESZEK

Część 1

Prolog

Zimna woda delikatnie musnęła jej stopę. Mózg od razu wysłał wiadomość: „Cofnij się!”, ale tego nie zrobiła. Stała niczym zamurowana.

Wzięła wdech i powoli wykonała krok w przód. Miliony małych igiełek zaatakowały skórę. Nie znosiła tego momentu. Kolejna lodowata fala obmyła jej nogi, a ona trwała, próbując się nie złamać.

Już wielokrotnie wychodziła.

Uciekała.

Chęć zakończenia tortur wygrywała. Dwa razy udało jej się wytrwać, dlatego wiedziała, że ten rozrywający ból w końcu minie i przyjdzie ulga, a chwilę później oczyszczenie. Błogość rozlewa się po całym ciele, a duma powoduje, że czuje się niezniszczalna.

Teraz też nie planowała odwrotu. Chciała dotrzeć do tego momentu ekstazy.

Tylko że planować i zrealizować to dwie różne rzeczy. Tym razem nie chodziło jedynie o walkę z samą sobą. Teraz patrzyła na dodatkową motywację, poza tą swoją, wewnętrzną.

W odległości kilkudziesięciu metrów na plaży siedział Igor.

Nowy mężczyzna, który pojawił się w jej życiu, a na którego tak długo czekała. Od prawie dziesięciu lat każdy spotkany na jej drodze facet okazywał się palantem. Czasami najzwyczajszą życiową pipą, która cały czas opowiadała o swojej mamie, innym razem kutasem, który nie ograniczał się do kontaktów tylko z nią.

Ten, który teraz patrzył na nią maślanymi oczami, powodował, że nogi jej miękły. To ze względu na niego nie chciała pokazywać skaz na swym charakterze, mimo że od rana powtarzał, że już samo to, iż wchodzi do lodowatej wody choćby do kostek, to spory wyczyn.

Dlatego teraz nie chciała wyjść przed nim na słabą. Nie chciała odpuścić, jak wielokrotnie to w życiu robiła. Rezygnowała z walki o awans. Nie szukała lepszego mieszkania, bo jej się nie chciało, a później psioczyła przy każdej nadarzającej się okazji, że to, w którym mieszka, jest beznadziejne. Poddawała się bez walki. Lubiła te nieliczne momenty, gdy inni postrzegali ją jako silną i waleczną. Czuła się wtedy lepsza, w porównaniu nie tylko z innymi, ale i z dawną wersją siebie samej.

Jako mała dziewczynka odpuszczała, gdy tylko na drodze pojawiała się jakakolwiek przeszkoda. Nie podejmowała wyzwania. Przyjmowała, co życie dawało. Dopiero kiedy dorosła, zauważyła, że rodzice zawsze chronili ją przed niekomfortowymi sytuacjami, a jeśli mimo to się w takiej znalazła, starali się ją wykaraskać bez szwanku lub pocieszali, gdy ona nie podołała.

Po latach została w niej złość za takie traktowanie. Zorientowała się, że nic dobrego jej z tego nie wyszło.

Zaczęła walczyć.

Zamknęła oczy i skupiła się na doznaniach.

Jesienny wiatr smagał jej ciało zimnym powietrzem, a przy każdym kolejnym kroku do przodu fale obmywały coraz większą powierzchnię skóry. Czuła, że niewidzialna pętla wokół ciała się zaciesnia. Jakby lodowate morze nie tylko wpływało na układ nerwowy, ale i zabierało tlen. Powodowała, że płuca zmniejszały swoją objętość lub dostawała się do nich woda, co w sytuacji, gdy stała z głową wysoko ponad powierzchnią, stanowiło dość absurdalną myśl.

Zrobiła kolejny krok.

Zimno paraliżowało.

Musiała być ponad to i zignorować ten ból.

Zanurzyła się do pępka i zamarła. Fale były coraz większe, a bezkres morza przed nią wyglądał niezwykle złowrogo.

Mama w tej chwili na bank powiedziałaaby coś w stylu: „Wyjdz już, przeziębisz się. Nie musisz tego robić”. A ojciec pewnie by dodał: „Prąd może cię porwać. Nie ryzykuj. Coś złego może się stać”.

Zawsze przedstawiali jej świat jako zbiór zagrożeń.

„Nie jedź w góry zimą, bo są lawiny”.

„Nie biegaj za dużo, możesz uszkodzić sobie kolana”.

„Nie wyjeżdżaj za granicę, bo tam nikt ci nie pomoże”.

Zamknęła oczy, pokręciła głową, chcąc odgonić głosy rodziców.

Koleżanka kiedyś jej podrzuciła pomysł, aby starała się znaleźć coś, co ją uspokaja. Zazwyczaj gdy w głowie kobiety kłębiło się za dużo myśli, wyobrażała sobie tropikalną plażę. Drobną, jasny piasek, lazururową wodę i palmy rosnące w równym rzędzie wzdłuż brzegu. Teraz też szybko przywołała ten obraz i skupiła

się na nim. Tym sposobem nie myślała o zimnej wodzie, która w jej odczuciu z każdą sekundą robiła się coraz zimniejsza.

Wykonała trzy głębokie wdechy i zacisnęła dłonie w pięści.

To był moment, którego nie lubiła jeszcze bardziej niż pierwszego dotyku wody na palcach.

Moczenie brzucha powyżej pępka. Z bliżej nieokreślonego powodu ten obszar wywoływał największe kłopoty.

Zawahała się. Otworzyła oczy i obejrzała się przez ramię. Igor cały czas bacznie ją obserwował i jak tylko spojrzała w jego stronę, zaczął energicznie machać, a siedzący obok niego pies jak gdyby wyczuł jej obiekcje. Podniósł się na cztery łapy i zamierzał dynamicznie ogonem, jakby chciał skoczyć swej pani na ratunek.

Uśmiechnęła się sztucznie, nie dostrzegając w tym momencie żadnego powodu do radości, i zanurzyła tułów w zimnej wodzie. Serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej, a z ust wydobyło się siarczyste:

– Kurwa!!!

Sekundę później, ignorując myśli, że nie powinna jeszcze wychodzić, rzuciła się do brzegu. Igor nie czekał, aż do nich dotrze, tylko ruszył z wyciągniętym przed siebie ręcznikiem, który cały czas trzymał w dłoniach.

– Jesteś nieziemską! – zawołał, biegnąc ku niej. Stał obok, zarzucił na nią kawałek materiału i zaczął ją pocierać. – Mnie ta woda paraliżuje już od samego patrzenia, a ty tam weszłaś, stałaś kilka minut i zamoczyłaś brzuch. Jesteś niesamowita.

Uśmiechał się do niej, prezentując równe zęby, których wygląd trochę się kłócił z kształtem nosa. Jego linia została aż dwa razy naruszona przez piłkę do koszykówki i stanowiła obecnie dobry przykład krzywej łamanej, o której lata temu uczyli się na matematyce. Dziewczyna kiwnęła tylko głową i również zaczęła pocierać zmarzniętą skórę. Niestety mokry strój pływacki

powodował, że na niewiele się to zdawało. Musiała się szybko przebrać. W tym momencie żałowała, że nie zaliczyła tej kąpieli morskiej gdzieś bliżej wejścia na plażę, skąd do kwatery miałoby tylko kilkaset metrów. Mogłaby nawet pobiec, otulona ręcznikiem, może w bluzie, która później wylądowałaby na grzejniku w łazience. Wtedy szybko i bez problemów dałaby radę narzucić na siebie coś ciepłego albo i nawet wziąć gorący prysznic, który rozgrzałby jej przemarznięte do szpiku kości ciało.

Na samą myśl zeżliła się na siebie. Zawsze musiała utrudniać sobie życie. Wynajmowała mieszkanie dalej od stacji metra, niż podpowiadał rozsądek. Jadła na noc tłuste jedzenie, mimo że wiedziała, iż rano będzie cierpieć. Podobnie stało się z wyborem miejsca do morsowania.

Postanowiła odejść najdalej, jak się dało, całkowicie ignorując fakt, że później czeka ją spory kawałek do przejścia, by dotrzeć do kwatery. Zupełnie nie pomyślała, że będzie zziębnięta, przemoczona i spragniona ciepła.

– Pójdę w krzaki, żeby się przebrać – rzuciła, zaciskając zęby ze zdenerwowania i zimna. Schyliła się do wielkiej torby, w której schowała rzeczy, ignorując rwącego się do zabawy z nią psa, skaczącego wokół swojej pani i wesoło merdającego ogonem. Nie miała teraz siły ani ochoty na żadne interakcje z nim.

– Tylko uważaj, nie wchodź na wydmy.

– Tak, wiem – mruknęła.

Jak na razie to był jedyny mankament tego mężczyzny. Co jakiś czas ją strofował lub przypominał o czymś oczywistym. W takich momentach czuła się niczym małe dziecko. Jej rodzice rzadko ją w taki sposób pouczali, ci skupiali się na ostrzeżeniach przed potencjalnymi zagrożeniami, za to babcia ze strony mamy nigdy nie odpuszczała:

„Odłóż rzeczy do zmywarki”.

„Założ kurtkę i czapkę, jest zimno na dworze”.

„Wrzuć ogryzek do śmietnika”.

Chwilami czuła się, jakby Igor był jej opiekunem, a nie partnerem.

Tym razem tego nie skomentowała. Jako dziecko prawie nigdy nie wchodziła w dyskusje z mamą lub tatą i w tym przypadku też tego nie zrobiła. Uśmiechnęła się tylko, po czym ruszyła w stronę lasu.

Podczas wcześniejszego spaceru widziała miejsce, które idealnie się nadawało na prowizoryczną przebieralnię. Powoli skierowała się w jego stronę, zatapiając stopy w piasku. Lubiła to uczucie. Choć nie podobało się jej polskie morze, jego kolor, zapach, to same plaże uwielbiała. Weszła na ścieżkę i uważnie stawiając kroki, ruszyła w las. Minęła wydmy, kręcąc głową z lekkim niesmakiem. Jakiś czas temu te naturalne wały otoczono ochronnym płotem. Niestety lata swobodnego dostępu spowodowały, że w wielu miejscach zostały zniszczone. Ludzie nic sobie nie robili z zakazów. Zostawiali na ich terenie śmieci, a co najgorsze, niszczyli je, nie zdając sobie sprawy, jaki może to mieć wpływ na środowisko.

Przyspieszyła kroku. Jej ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Zawsze tak się działo, gdy robiło się bardzo zimno. Niskie ciśnienie krwi powodowało, że dystalne części jej ciała – stopy i dłonie – zazwyczaj były zimniejsze. Teraz jednak miała wrażenie, że płynąca w żyłach krew w ogóle do nich nie dociera, co powoduje, że się jeszcze bardziej wychładzają.

Przyspieszyła. Nie patrzyła już, czy nie wejdzie na jakąś szyszkę lub kawałek szkła. Liczyło się tylko, aby jak najszybciej dotrzeć do miejsca, gdzie rośło trochę gęściej kilka drzew. W końcu znalazła to idealne. Rozejrzała się jeszcze, by się upewnić, czy w pobliżu nie ma jakichś szwendających się turystów, po czym szybko zsunęła

ramięczka i już chciała odsłonić piersi oraz brzuch, gdy w odległości kilku metrów zauważyła coś dziwnego.

Od dawna nosiła okulary. Była krótkowidzem, więc nie potrzebowała ich do czytania. Niestety to, co było w oddali, bez nich się rozmazywało. Na co dzień nosiła szkła, lecz na wyjazd ich zapomniała. Położyła obok torby i tam zostały. Zresztą nie potrzebowała ich, bo Igor prowadził przez całą drogę, co bardzo jej pasowało. W mieście dawała sobie radę za kółkiem, ale dłuższe trasy ją przerażały.

Rozejrzała się dookoła. Nikogo nie dostrzegła. Powinna się cieszyć, jednak jak zawsze mózg zaczął podsuwać dziwne obrazy. Zawsze tak miała. Z tego powodu nigdy nie zostawała w domu sama, a podczas studiów mieszkała z koleżanką. Nie dlatego, że nie stać jej było na mieszkanie tylko dla siebie. Wyobraźnia kobiety cały czas pracowała na wysokich obrotach. Nawet rano, gdy szykowała się do wyjścia, rozmyślała o rekinach. Szybko sprawdziła w necie i się uspokoiła, kiedy przeczytała, że zasolenie Bałtyku jest dla nich bardzo niekorzystne.

Teraz nie mogła jednak polegać na żadnych danych.

Zresztą co mogłaby wpisać w przeglądarkę? „Jak często dochodzi do napaści w lesie”? „Co grozi człowiekowi w lesie”? „Co grozi półnagiej kobiecie”?

W głowie myśli przyspieszały.

A co, jeżeli za krzakami ktoś jest i chce mi zrobić krzywdę?

Ćwiczyła, biegała, ale wiedziała, że w starciu z rosnącym mężczyzną nie miałyby szansy. Może zdążyłaby przebiec kilka metrów, może zaczęłaby krzyczeć, lecz czy Igor ruszyłby na pomoc? Czy dobiegłaby do ulicy, zanim napastnik zrobiłby jej krzywdę?

A co, jeżeli pojawiłby się locha z młodymi i bez skrępułów by na nią ruszył? Albo pies, chory na wściekliznę lub taki, co uciekł z nielegalnej hodowli?

Wsunęła szybko kostium z powrotem na ciało, ignorując bijący od niego chłód, i czekała.

Sekundy leciały, a poza szumem morza nic nie dochodziło do jej uszu.

Owinęła się szczelnie ręcznikiem i stała.

Musiała podjąć szybko decyzję, co robić, bo jej ciało wpadało w dygot.

Adrenalina buzująca w krwiobiegu nie grzała stóp i dłoni.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi dziewczyna ruszyła w stronę dziwnego obiektu.

Trzęsąc się, pokonywała odległość dzielącą ją od tego czegoś, co przyciągało niczym magnes.

Kilkanaście sekund później las nad Morzem Bałtyckim, między Juratą a Jastarnią, wypełnił się wrzaskiem, a kobieta ruszyła pędem w stronę plaży, zostawiając ludzką nogę tak, jak leżała.

Rozdział 1

Starszy aspirant Andrzej Woźniak przeciągnął się i ziewnął głośno, zupełnie się nie krępując. Zazwyczaj kiedy przy biurku obok siedziała aspirant Zuzanna Kruk, kontrolował wydawane przez siebie dźwięki, ale od kilku dni w ich pokoju panowały nienaturalna cisza i spokój. Nikt nie mierzył go wzrokiem, gdy robił coś niestosownego. Nikt nie cmokał, nie wzdychał ani nie rzucał specyficznych komentarzy.

Zamknął na moment oczy. Od kiedy pięć godzin wcześniej obudził się na dźwięk budzika, marzył o tym, żeby jeszcze chociaż na chwilę przyciąć komara. Niestety wiedział, że do późnego wieczora musi być w pełnej gotowości.

W pracy jak zawsze działa się więcej, niż mogli na spokojnie obsłużyć. Zbyt wielu ludzi kradło, wszczynano awantury, okładało kogoś przyrządami niestworzonymi do walki, jak ostatnio

podczas interwencji domowej, gdy się okazało, że mężczyzna uderzył żonę wałkiem do ciasta.

Nigdy od kiedy pracował w policji, a było to już osiemnaście lat, nie zdarzyła mu się nuda. Nigdy nie prosił się o sprawę. Zawsze musiał ustalać priorytety i spychać te mniej ważne na koniec kolejki. Nie czuł się z tym komfortowo, ponieważ uważał, że każdemu poszkodowanemu należy się tyle samo uwagi. Z tego powodu z reguły musiał siedzieć w robocie znacznie dłużej, niż przewidywał to kodeks pracy, nie robić wszystkiego, co by chciał, a czasami liczyć na łut szczęścia, że sprawa, którą prowadzi, sama się rozwiąże.

A teraz jeszcze jego partnerka wyjechała.

Z jednej strony się cieszył, bo wiedział, że Zuzannie Kruk przyda się chwila wytchnienia. Od wielu lat nie zrobiła sobie przerwy od pracy. Nawet jak brała urlop, to spędzała go w domu i analizowała stare sprawy lub czytała książki o profilowaniu albo psychologii, starając się zrozumieć nie tylko zwyroli, ale i siebie samą.

Woźniak długo rozmawiał na ten temat z komendantem, aż wreszcie stwierdzili, że to on będzie lepszą osobą do przekonania koleżanki do wyjazdu.

– Po co ja mam gdzieś jechać? – rzuciła, gdy tylko o tym wspomniał.

– Twój umysł potrzebuje przerwy.

– Mój umysł niczego nie potrzebuje – odpowiedziała, jak to miała w zwyczaju, beznamiętnym głosem, wciąż stukając w klawiaturę.

– Człowiek nie jest w stanie cały czas skupiać się nad czymś w stu procentach. Męczy się, a odpoczynek, czyli oderwanie myśli od tego, na czym skupia się na co dzień, jest mu bardzo potrzebny.

– Często mi mówisz, że jestem inna, może w tym też różnię się od większości.

Wózniak zacisnął dłonie w pięści. Nie znosił tej bystrości koleżanki. Często miał wrażenie, że Zuzanna go nie słucha, a później w najmniej odpowiedniej chwili wyciągała argumenty, które padły z jego ust.

– Tak, zgadza się, ale istnieją badania naukowe, które wskazują wyraźnie, że...

– Znalazłeś jakieś? – wtrąciła i obróciła się na krześle w jego stronę.

Wiedział, że od razu przejdzie do ataku, a tym, co może ją przekonać, jest wyłącznie merytoryczna wiedza w postaci wyników badań.

Uśmiechnął się. Pracowali razem już cztery lata i znał koleżankę całkiem nieźle, dlatego się przygotował. Sięgnął po leżącą na biurku kartkę. Wiedział, że powinien poświęcić temu więcej czasu, ale nie miał go w nadmiarze, dlatego poprosił o to córkę, która przeżywała właśnie olbrzymią fascynację internetem. Z początku tego nie popierał, bał się, że przepadnie w bagienku mediów społecznościowych. Okazało się jednak, że dziewczynka wykorzystuje sieć w zupełnie inny sposób – do rozwoju zainteresowań, szukania ciekawostek czy drążenia interesujących ją tematów. Gdy więc po niespełna godzinie Lena przyszła z kartką z konkretami, podziękował. Teraz siedział naprzeciwko koleżanki, licząc, że nie polegnie pod wpływem jej spojrzenia.

– Badanie wykazało, że krótkie wakacje, takie cztery, pięć dni, poprawiły u pracowników poziom zdrowia i dobrostanu, czyli tak zwane *well-being*. – Ostatnie słowa mocniej zaakcentował, dumny z siebie, że nauczył się czegoś nowego. – Co ważne, efekt utrzymywał się krótko. Tylko dłuższe wyjazdy są w stanie znacząco wpłynąć na pracownika. I co najważniejsze, musi się on psychicznie oderwać od pracy. Skupić na odpoczynaniu, rozmawiać z partnerem, cieszyć się czasem wolnym – recytował

Woźniak niczym uczeń przed wymagającą nauczycielką. – Z kolei praca podczas urlopu lub nieodłączenie się od obowiązków negatywnie wpływało na korzyści z wyjazdu. – Spojrzał na koleżankę z nadzieją, że tyle jej wystarczy, lecz widząc wyczekujące spojrzenie, czytał dalej: – Metaanaliza trzydziestu dwóch badań wykazała, że tydzień urlopu z aktywnością fizyczną znacząco poprawił jakość snu i psychiczne samopoczucie pracowników.

– Czyli nie tylko mam wyjechać, ale jeszcze ćwiczyc? – Kruk zmarszczyła brwi i zaczęła stukać nerwowo długopisem o blat.

– Nie wiem, co ty lubisz robić na wyjazdach, bo ja na przykład jeżdżę z moimi dziewczynami na rowerach, spacerujemy. Korzystam z atrakcji, które oferuje dany region. Chodzimy do muzeów lub skansenów, jak są, czy szukamy jakichś nietypowych miejsc.

– Ja zazwyczaj siedzę w pokoju i czytam – odparła policjantka beznamiętnym głosem.

– I nigdzie nie wychodzisz?

– No nie. Czasami tylko coś zjeść i po książki. Zazwyczaj zapisuję się do lokalnej biblioteki, a tak ślęczę nad starymi sprawami, których nikt od lat nie ruszał.

Nie skomentował. Siedział, patrząc na kobietę, i czuł, że trafił na ścianę, którą trudno będzie przebić. Zuzanna Kruk zupełnie nie rozumiała idei wyjazdów, urlopu. Całym jej życiem była praca w policji. Szukanie tych złych. Pomaganie tym, którzy stali się ich ofiarami. I dobrze wiedział, że Kruk robi to nie dlatego, że pokój na świecie i sprawiedliwość stanowią jej cel życiowy. Nie, ona uwielbiała zagadki, łamigłówki i kombinowanie, a to właśnie zapewniała ta służba.

Woźniak długo ją cisnął, aby gdzieś wyjechała, odpoczęła, odcięła się od tego, co otacza ją na co dzień. Zresetowała głowę. Wyczyściła układ nerwowy, tak aby po powrocie mogła pracować na jeszcze wyższych obrotach.

Oczywiście o zagranicznym wyjeździe nie było mowy.

Nie chodziło o barierę językową, bo Woźniak niedawno z zaskoczeniem odkrył, że jego koleżanka świetnie radzi sobie zarówno po angielsku, jak i niemiecku, ale o problemy natury społecznej. Zuzanna Kruk najzwyczajniej w świecie się bała, że jeżeli cokolwiek się skomplikuje – w stylu opóźnionego lotu czy problemów z pokojem – może zareagować nietypowo, co dla mieszkańca na przykład Turcji czy Hiszpanii będzie stanowiło wyzwanie. Poza tym diametralne zmiany powodowały u niej lęki, problemy ze snem, z jedzeniem, a nie o to chodziło podczas urlopu.

W końcu zgodziła się na wyjazd nad polskie morze. Przekonała ją to, że nie będzie tłumów, bo okres wakacyjny już dawno temu minął. To nie Zakopane, gdzie praktycznie przez cały czas przevalają się dzikie tłumy. Dodatkowy plus stanowił fakt, że znał dobrze właścicielkę małego pensjonatu – Halinę Migdalską, sympatyczną starszą panią, która chętnie opowiadała o Juracie. Woźniak wraz ze swoją żoną z wielkim zaciekawieniem jej słuchali.

To od niej dowiedzieli się co nieco o historii tego miasta. O tym, że zostało założone w 1928 roku przez Spółkę Akcyjną „Jurata”, która wydzierżawiła około stu pięćdziesięciu hektarów państwowych gruntów. Zanim jednak otworzyła się na pierwszych wczasowiczów, minęły trzy lata. Jurata była bardzo modnym miejscem wypoczynku dla zwykłych zjadaczy chleba, ale i dla elit: polityków, artystów, ludzi kultury – bywali tu między innymi Wojciech Kossak, Jan Kiepura, Eugeniusz Bodo, Ignacy Mościcki. Nowo powstały kurort początkowo został administracyjnie włączony do obszaru Jastarni, jednak kilka lat później wyodrębniono Juratę jako samodzielną miejscowość.

Jednym z charakterystycznych punktów tego urokliwego miasteczka był Pomnik Juraty przy deptaku Międzyzmorze, odsłonięty w lipcu 2006 roku, w siedemdziesiątą piątą rocznicę

uruchomienia uzdrowiska. Dzieło to stworzył Stanisław Szwechowicz, rzeźbiarz pochodzący z Gdańska.

Pani Halina opowiadała również o wydarzeniach o charakterze kryminalnym, które rozgrywały się w okolicach, ponieważ do samej Juraty na szczęście zło rzadko zaglądało. Przedstawiła im między innymi sprawę z Jastarni, gdzie starszy pan został dotkliwie pobity i niestety zmarł w drodze do szpitala. Innym razem na plaży w Juracie znaleziono ciało mężczyzny, który kilka dni wcześniej tonął i został porwany przez wodę. Starsza pani relacjonowała im to wszystko z uśmiechem na twarzy i entuzjazmem w głosie, jakby opowiadała o czymś lekkim.

Chłonęli jej słowa z zaciekawieniem, mimo że z założenia nie rozmawiali na służbowe tematy Woźniaka. Policjant lubił te chwile spokoju z rodziną, poza tym jego żona wołała żyć w błogiej nieświadomości. Jak to często podkreślała, dzięki tej niewiedzy lepiej spała. Mimo to historii serwowanych przez właścicielkę pensjonatu słuchali z zapartym tchem. W jej wydaniu żadna z tych opowieści nie brzmiała na tak straszną, jak w rzeczywistości była. Dodatkowo wkraczając w progi pani Haliny, czuli się przez kobietę zaopiekowani, jakby byli spokrewnieni. Za każdym razem kiedy przyjeżdżali, przygotowywała dla nich kosz z podarunkami, a gdy wybrali się tam na rocznicę ślubu, znaleźli w pokoju butelkę wina z pięknymi życzeniami i tomikiem wierszy.

Kiedy Zuzanna w końcu się zgodziła, partner załatwił jej wszystko, a nawet podwiózł na dworzec, czym sprowokował żonę do dogryzania.

– Mnie tak nie wozisz – zaśmiała się, gdy wieczorem opowiedział o swoim sukcesie, bo tak odbierał fakt, że koleżanka w końcu się zgodziła.

– Bo ty jesteś dużą dziewczynką i świetnie sobie ze wszystkim radzisz.

– Kiedyś mówiłeś, że jestem twoją królewną, a je chyba się wozi karocą.

– Po pierwsze, mój dupowóz nawet nie stał koło książęcego pojazdu, po drugie, ty jesteś bardziej ogarnięta ode mnie, po trzecie, musiałem przypilnować, żeby Kruk wsiadła do pociągu. Mimo że wszystko opłaciła, mogła nagle zrezygnować. Dowiedziałyby się o jakimś trupie i już pędziłaby na komendę, zamiast jechać do krainy jodu i piasku.

Tym sposobem po wykonaniu dość siermiężnej pracy teraz delectował się ciszą, wiedząc, że partnerka dotarła na miejsce i ma się dobrze. Nie mówił o tym żonie, ale pani Halinka wysyłała mu informacje o swojej gościni. Codziennie składała coś na kształt raportu: czy wczasowiczka wychodziła z budynku, czy wszystko zjadła, o czym rozmawiała. Nawet wysyłała zdjęcia, jak się ubiera, aby nie musiał się martwić, że Zuzanna się przeziębi.

Nie wymagał tego. Ba, nawet nie prosił. Starsza pani, usłyszawszy o specyficznym charakterze tego urlopu, sama wyszła z inicjatywą, z czego się cieszył i za co za każdym razem wylewnie dziękował.

Wyprostował się na krześle i zaczął stukać na klawiaturze. Musiał wprowadzić do systemu informacje z przesłuchania, które przeprowadził rano. Już miał zacząć przepisywać notatki, gdy drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i do środka wparował komisarz Wojtek Brodnicki, który podczas urlopu Kruk miał być jego partnerem.

– Jedziemy – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mamy trupa, i to w najgorszym z możliwych miejsc.

Rozdział 2

Pół roku wcześniej

Artur Wieczorek położył się na kanapie, nie zdjawszy nawet marynarki od garnituru, w którym spędził kilka ostatnich godzin. Dobrze skrojony, uszyty na miarę. Dokładnie taki, jakiego chciał. I pewnie dołączyłby do jego kolekcji, w której chodził na co dzień, gdyby nie jeden szczegół.

Kolor.

Czarny.

Nie znosił go, ale tym razem nic nie mógł na to poradzić.

Pogrzeby rządziły się swoimi prawami, wiązały się z konkretną kolorystyką, a z szacunku do swojej mamy, z którą często się nie zgadzał, nie chciał jej robić na złość na ostatniej prostej.

Ten raz chciał wszystko zrobić tak, jak powinien, i nie rzucać się w oczy.

Wykonał trzy wdechy i się podniósł.

Musiał pożegnać się z tym strojem. Rzucić go w kąt i nie wyciągać do czasu kolejnej przygnębiającej imprezy. Na co dzień zdecydowanie wołał jaskrawe kolory. Nie w przesadnej ilości, ale jako akcent.

Zegarek, skarpetki lub chusteczka włożona w brustaszę.

Tego dnia musiał ze wszystkiego zrezygnować.

Zdjął marynarkę i ją odwiesił. Powoli, metodycznie, guzik po guziku pozbył się koszuli, a następnie rozpiął pasek i spodnie, po czym je zsunął. Wszystko ułożył na krzesłach stojących w jadalni przy dużym dębowym stole.

Odetchnął głęboko i wrócił na kanapę. Jeszcze przez chwilę miał być sam i bez krępacji mógł powspominać. Zwizualizować chwilę triumfu. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Mina Mikołaja, współnika mamy, który całym sobą wierzył, że to on przejmie biznes prowadzony wraz z kobietą, stanowiła nie lada gratkę. Artur obserwował, jak facet się czerwieni, gdy zupełnie niepytany powiedział mu o testamencie. O dokumencie, który napisała.

Sama. Bez konsultacji z kimkolwiek, a przede wszystkim ze swoim biznesowym partnerem.

Mężczyzna patrzył na niego, zaciskając mocno usta, których czerwień najpierw zsiniała, a później zniknęła. Jego oczy momentalnie zapłonęły, a nozdrza zaczęły falować zdecydowanie za szybko. Artur Wieczorek wiedział, że temperament Mikołaja studzą okoliczności i chodzący wkoło ludzie. Gdyby nie to, nie zdziwiłby się, jakby zaczął on krzyczeć, machać rękoma, a być może i nawet wyrazić swoje niezadowolenie, wymierzając mu cios.

– To niemożliwe... – Kręcił głową, chodząc w tę i z powrotem wzdłuż ławki stojącej przed kościołem. – Twoja mama była słowna i obiecała, że zapisze mi swoje udziały, to znaczy... miałem je kupić, a kasa miała trafić do was. Wszystko było jasne i klarowne,

od dawna ustalone. Przecież to niemożliwe! Elżbieta nigdy by mi tego nie zrobiła. Nigdy ot tak nie zmieniała zdania.

– No cóż. – Artur wzruszył ramionami, delikatnie się uśmiechając. Gdyby byli w jego biurze lub w jakimś prywatnym miejscu, pewnie zaśmiałyby się w głos, lecz teraz się stopował. Chciał wyjść na tego poważnego, stonowanego i spokojnego. – Kobieta zmienną jest, widocznie tym razem pokazała swoją bardziej rodzinną stronę.

– Nieprawda! – zareagował Mikołaj podniesionym głosem, powodując, że stojąca nieopodal starsza pani aż cała się napięła. Pokręciła głową z dezaprobatą i ruszyła w stronę wejścia do kościoła. – W sprawach biznesowych zawsze dotrzymywała słowa. Była moją współpracowniczką od dekady, a pięć lat temu wyznaczyliśmy strategię, którą cały czas realizujemy. Nigdy nie podejmowała decyzji niepopartych długą analizą. Nigdy niczym mnie nie zaskoczyła, dlatego...

– Jak widać, ludzie się zmieniają – wtrącił z kamienną twarzą, lecz triumfem w głosie.

– Chcę zobaczyć ten dokument.

– Oczywiście. – Skinął głową, delikatnie unosząc kąciki ust. – Jak masz ochotę, możesz nawet przeanalizować jej podpis. Znam dobrego grafologa.

– Ja... – wydukał, cały czas głośno posapując.

– Co? – Artur zmrużył lekko oczy.

– Nie wierzę w to, co się stało. Elżbieta by tego sobie nie życzyła. Ona by nie chciała, żebyś ty położył łapy na tym, co stworzyła! – Mikołaj Uznański mówił coraz szybciej, a drobiny śliny wylatywały mu z ust.

– Nie życzyłyby sobie? – prychnął syn zmarłej. – Skoro coś takiego podpisała, to jednak tego chciała. Ba, ona nawet napisała ten dokument. Myślisz, że co? Że ją zmusiłem?

– Nie wiem... – Pokręcił głową, po czym chwycił za krawat i zaczął się z nim siłować, jakby nagle odciął mu on dopływ powietrza do płuc.

– No właśnie. Robisz się załosny. Wydaje ci się, że tak dobrze znałeś moją mamę? Niby kim ty jesteś?! – Na chwilę zapanowała między nimi cisza, która była głośniejsza niż dzwon kościelny. – Nikim ważnym! – Tym razem to on podniósł głos.

Stojący niedaleko brat matki zrobił krok w ich stronę. Nigdy nie lubił swojego siostrzeńca. Od kiedy pamiętał, ich relacje nie należały do najlepszych. Wujek, jak tylko mógł, próbował go ustawić do pionu. Brak twardej ręki w domu powodował, że Artur często robił, co chciał. Teraz też odwrócił się do krewnego plecami, dając mu znać, żeby się nie wtrącał.

– Powinieneś być wdzięczny, że dzięki mojej mamie masz to, co masz. Inaczej gównem byś osiągnął. To ona wymyśliła wasz biznes. To ona dysponowała kontaktami. Gdybyś sam prowadził podobną działalność, nic byś nie wskórał. Po kilku miesiącach wróciłbyś do poprzedniej roboty z podkulonym ogonem.

– Żałosny jesteś. Zawsze się zastanawiałem, jak z tak wspa-
niałej kobiety mógł wyjść taki...

– Ty się w niej kochałeś? – rzucił Artur, przygryzając policzki od środka, inaczej parsknąłby śmiechem. W tym momencie dziękował opatrności za miejsce odbywania tej rozmowy, które zdecydowanie hamowało stojącego naprzeciwko Mikołaja Uznańskiego. Mężczyzna się wyraźnie gotował, a mocno zaciśnięte szczęki pokazywały, że jest bliski wybuchu.

– Ty jesteś nienormalny – wysyczał. – Zawsze wiedziałem, że jesteś złym człowiekiem, ale teraz to...

– Teraz co? – wtrącił, widząc księdza, który nerwowo dreptał przed wejściem do kościoła. Artur Wieczorek pochylił się w stronę rozmówcy i ściszym głosem powiedział: – Zresztą gównem

mnie obchodzą twoje przemyślenia. Nic nie dostaniesz ze spuścizny mojej mamy. Firma należy teraz do mnie.

– Co najwyżej jej połowa. Pracowałem na to tak samo ciężko jak twoja mama, poza tym my się umówiliśmy.

– Zazdrościsz mi? – rzucił, widząc, że jest blisko doprowadzenia przeciwnika, jak myślał o mężczyźnie, na skraj eksplozji. Wiedział, że jak mu się to uda, sporo zyska.

– To nie tak...

– Taaa – parsknął z rozbawieniem na twarzy. – Przecież to widać z daleka. Nigdy sam do niczego nie dojdiesz i zalewa cię żółć, że zabieram ci coś, do czego bezzasadnie rościłeś sobie prawa. Coś, co spadło ci z nieba zupełnie przypadkowo. Twoja zasługa to to, że mnie poznałeś, a ja dałem się omamić. Tylko że szybko otrzeźwiałem, a mamie zajęło to więcej czasu. Gdyby nie to, że masz gadane i ładną mordę, gówno byś osiągnął.

Uznański ponownie cały się napiął, a jego oczy podbiegły czerwienią. Mimo to starał się oddychać miarowo.

Artur Wieczorek spojrział na swoją marynarkę i poprawił związającą z brustaszy chusteczkę.

– Wszystko wskazuje na to, że będziemy musieli się dogadać – wypalił po kilku sekundach ciszy. – Myślę, że w przyszłym tygodniu przeniosę się do biura mamy.

Twarz mężczyzny jeszcze bardziej spąsowiała. Elżbieta zawsze opowiadała, jak kochają tę przestrzeń. Mieściła się w starej kamienicy, którą kupili dawno temu, odrestaurowali i wynajęli, zostawiając sobie jeden lokal na parterze, z wyjściem na ulicę.

W pomieszczeniu głównym stały dwa biurka wspólników, którzy od ponad dziesięciu lat oferowali usługi konsultingowe w zakresie dzieł sztuki. Pomagali znajdować perełki: obrazy, rzeźby, czasami biżuterię. Ich klienci kupowali je na inwestycje lub

na prezenty. Dzięki swoim kontaktom obsługiwali ludzi z całego świata, chociaż Wieczorek zawsze podkreślała, że wcale nie trzeba szukać klientów za granicą. W Polsce zdobywała ich coraz więcej, poszerzając wpływy.

Dla Artura ta działalność była idealnym dopełnieniem tego, co robił on. Od trzech lat prowadził niewielką galerię, skupiającą się na młodych, jeszcze nieodkrytych twórcach. Rozwijała się prężnie, często wywołując zazdrosne uwagi kolegów. Mężczyzna wiedział jednak, że na Mikołaju nie robi to wrażenia, bo sam zarabiał znacznie więcej, zawierane przez niego transakcje opiewały na dużo większe kwoty, a klienci co rusz gościli w zestawieniach najbogatszych Polaków w kraju.

– Nasza firma jest jej trzecim dzieckiem. Nie możesz zniszczyć tego, co stworzyła – odezwał się Uznański, a jego głos brzmiał o wiele spokojniej niż chwilę wcześniej.

– I nie chcę. Zrobię z jej dzieła imperium – odpowiedział, a wzrok mimowolnie poleciał mu w stronę stojącej przed wejściem tablicy ze zdjęciem mamy. Po jego ciele przeszedł zimny dreszcz. Dotychczas na stratę matki patrzył wyłącznie jako na szansę na rozwój firmy, zupełnie ignorując przyziemny aspekt jej śmierci. Odwrócił głowę, nie chcąc na nią patrzeć. – Wiem, że to nie był czas na nią...

– No nie był. Namawiała wszystkich dookoła na badania, a to... – Uznański urwał w pół słowa.

Artur Wieczorek pokiwał głową. Faktycznie mama dbała o siebie jak mało kto. Lata temu po nagłej śmierci swojej przyjaciółki stwierdziła, że musi więcej uwagi poświęcać własnemu zdrowiu. Kupiła garnki do gotowania na parze, przestała jeść gluten. Zaczęła chodzić na zajęcia z pilatesu i takie na zdrowy kręgosłup, a po pewnym czasie jeździć na rowerze. Robiła

wszystko, co robią ludzie dużo młodszy. Koleżanki patrzyły na nią niczym na kosmitkę, za to młodsze kobiety podziwiała i chciały być jak ona. Dlatego tym bardziej jej nagła śmierć wywołała powszechne zdziwienie.

Nikt nie powiedział tego na głos, ale gdyby umarła w wyniku wypadku komunikacyjnego, to nie stanowiłoby zaskoczenia. Za kółkiem była nerwowa i stresowała też swoich pasażerów. Każdy, kto z nią jeździł, bał się o swoje życie. Prowadziła zdecydowanie za szybko, wykonywała manewry w sposób niepewny. Hamowała, przyspieszała tak, że wszyscy czuli się niczym worki kartofli.

A jednak śmierć z przyczyn zdrowotnych wydawała się w jej przypadku zaskakująca.

Artur Wieczorek znowu zerknął na zdjęcie mamy. Od dawien dawna nie było mu z nią po drodze. Od śmierci ojca ścierali się przy każdej okazji. Nie mógł jej darować tego, co zrobiła. Odeszła do młodszego, lepszego modelu. Ojciec, zapatrzony w żonę jak w obrazek, tego nie udźwignął. Zaczął się staczać, pić na umór, zapominając o bożym świecie. Najpierw o pracy. Wcześniej ją uwielbiał, ale gdy w grę wszedł alkohol, okazało się, że wykonywanie obowiązków służbowych stanowi nie lada wyzwanie. Szybko stracił robotę, a z każdej kolejnej wywalano go po kilku miesiącach, aż przestał chodzić na rozmowy.

Artur dobrze pamiętał, jak zbierał go z podłogi, ignorując nieprzyjemną woń, a także wymiociny przyklepione do jego ubrania. Po takich incydentach błagał mamę o powrót do niego, ale ona nie ugięła się ani razu.

– Każdy w życiu powinien być egoistą i myśleć o sobie – wygłaszała swe mądrości. – Dzięki temu jest szczęśliwy i bardziej gotowy na dawanie szczęścia. Jak ludzie poświęcają się tylko dla innych, zawsze wpadają w kłopoty. Ja tego nie planuję i to samo radzę twojemu ojcu. Niech przestanie utyskiwać i znajdzie coś,

co podniesie go z kolan. Niech zacznie coś robić. Niech ludzie patrzą na niego z szacunkiem, zawiścią, a nie politowaniem.

Wtedy Artur tego nie rozumiał, nie szanował jej ani jej podejścia. Dopiero gdy sam zaczął zarabiać i widział te spojrzenia pełne zazdrości, poczuł, co miała na myśli.

Teraz Uznański patrzył na niego w dokładnie w taki sam sposób.

– Jak ty sobie to teraz wyobrażasz? Przecież zupełnie nie rozumiesz tego, co z twoją mamą robiliśmy.

Artur Wieczorek nie odpowiedział od razu. Na tę chwilę czekał. Rozpiął płaszcz i wyciągnął kartkę schowaną w wewnętrznej kieszeni. Chłodne powietrze natychmiast wdarło się pod marynarkę.

Choć była już późna wiosna, pogoda kojarzyła się raczej z zimą niż nadchodzącym latem. Jemu to nie przeszkadzało. Upały go stresowały. Szczególnie że jego ulubionym strojem była marynarka, a najlepiej cały garnitur, które przy wysokiej temperaturze powodowały, że ciało szybko rosił pot, a pod pachami tworzyły się nieeleganckie plamy.

– Chętnie odkupię twoje udziały – rzucił Wieczorek, nie patrząc na współnika mamy, po czym z drugiej kieszeni wyciągnął paczkę papierosów.

– Tu się nie pali... – usłyszał cichy głos mężczyzny, ale to zignorował. Szybkim ruchem wyjął zdobioną srebrną zapalniczkę, która wydała charakterystyczny dźwięk.

Przystawił filtr do ust i się zaciągnął. Momentalnie poczuł, jak dym wdziera się do spragnionych płuc. Uwielbiał ten stan. Wiedział, że nie powinien, bo przy astmie mocno wpływało to na jego wydolność, lecz przecież nie planował biec w maratonie, a uczucie panoszącej się po ciele nikotyny uwielbiał prawie tak samo jak dobrą whisky.

– Wydaje mi się, że jestem już dużym chłopcem i mogę sam o sobie decydować – odpowiedział ironicznie z przyklejonym do ust papierosem. – I jeżeli mam ochotę łamać przepisy, to chyba nic ci do tego.

– Mógłbyś chociaż dzisiaj zachować się jak duży chłopiec, a nie rozkapryszony bachor, który robi, co mu się podoba.

– Ty się nie wpięprzaj w moje życie. Mama nie lubiła, jak palę, i co z tego? A ja nie lubiłem, jak się dymała z młodszymi facetami – rzucił podniesionym głosem, a kilka osób aż przystanęło. – Nie lubiłem, jak mnie upokarzała. Wielu rzeczy nie lubiłem. Ale była moją mamą i kochałem ją najbardziej na świecie. Dlatego będę robił z jej firmą, co będę chciał. To moja mama ją stworzyła, a ciebie wzięła tylko po to, żeby nie musieć tyle jeździć. Na szczęście ja nie mam z tym problemu. – Zaciągnął się i wydmuchał gęsty dym w stronę mężczyzny. Ten tego nie skomentował, lecz zaciśnięte usta i przymrużone oczy stanowiły doskonały dowód na to, jak bardzo go to wkurza. – W tym tygodniu spotkamy się z moim doradcą i przedyskutujemy ofertę wykupu...

– Wykupu? – skomentował Uznański, jakby zapomniał, co usłyszał chwilę wcześniej.

– Tak, w tej sytuacji to zdecydowanie najlepsza możliwość. Nie sądzę, że chciałbyś ze mną pracować. – Ponownie się zaciągnął. – Mama zawsze mi mówiła, jak bardzo mnie nie lubisz – parsknął, ale Mikołaj tego nie skomentował, tylko zrobił wielkie oczy. – Nasze drogi nie powinny za długo się splatać. Wiem, że twoja żona marzy o domku w Hiszpanii, więc w końcu będzie was na niego stać. Będziecie mieli niezły zastrzyk na start. Plus może zrekompensujesz jej te twoje zdrady.

– Gówno ci do tego, ja...

– Wiesz co? – przerwał mu Artur Wieczorek. – Może już skończmy tę rozmowę, czas zacząć imprezę.

Po tych słowach zgasił papierosa w wielkiej doniczce obok i ruszył w stronę kościoła, zostawiając wkurzonego mężczyznę za sobą.

Teraz leżał na kanapie i zdawał sobie sprawę, że to początek batalii. Zamierzał zrobić wszystko, aby wyjść z niej z tarczą, a nie na tarczy.

Rozdział 3

Gdy zajechali pod podany przez dyspozytorkę adres, Andrzej Woźniak od razu wiedział, że kolega miał stuprocentową rację. Miejsce, do którego zostali wezwani, nie należało do typowych w kontekście znajdowania zwłok.

Zaparkowali przed beżowym klockowatym budynkiem, na którego elewacji przy wejściu namalowano wielkie różnokolorowe kredki. Wszystko wyglądało uroczo i zachęcająco dla młodych ludzi spędzających tu po kilka godzin dziennie bez swoich rodziców. Bez ich wsparcia, dobrego słowa, ale też ciągłej kontroli.

W miejscu, w którym zaczynali nowy etap swojego życia.

Wstęp do dorosłości, który na szczęście dla ich rodziców miał się ciągnąć latami.

Woźniak dobrze pamiętał, jak wraz z żoną przeżywali fakt, że ich córki wybyły z domu i zaczynają proces usamodzielniania.

Jemu to pasowało, cieszył się, że w końcu idą do ludzi, poznają dzieci, uczą się nowych zachowań społecznych. Za to Ola miała z tym olbrzymi problem.

– A co, jak nie będą nas potrzebować? Nie będą chciały wracać do domu? – zastanawiała się, pociągając nosem i patrząc na niego błagalnym wzrokiem, jakby tym mogła uprosić, aby zmienił ich sytuację. Jakby mógł sprawić, by córki zostały w domu, by oni nie musieli chodzić do pracy. By mogli zostać ze swoimi latoroślami i zajmować się nimi, zupełnie nie przejmując się pieniędzmi.

– One zawsze będą nas kochać najbardziej na świecie. To, że w końcu będą w stanie same się ubrać czy zjeść bez uwalniania całej garderoby, łącznie ze skarpetkami, wyjdzie im na dobre. Poza tym fakt, że pojawią się w ich życiu nowe koleżanki, a pewnie i kiedyś koledzy, nie oznacza, że my nie będziemy ważni. Przecież pozostaniemy ich rodzicami do końca życia.

– No tak, ale... – posapywała z ustami wygiętymi w podkówkę.

– Nie ma „ale”. Przecież jak ty poszłaś do przedszkola...

– Ja nie chodziłam – przerwała mu pewnym głosem.

O tym Andrzej zupełnie zapomniał.

– No dobra, jednak do szkoły chyba już poszłaś, nie? – Zaśmiał się, wywołując pierwszy od dłuższego czasu uśmiech na twarzy żony.

– Poszłam.

– No, i czy przez to mniej kochałaś rodziców?

– No... nie – wydukała, wydymając przy tym wargi.

– Sama widzisz, to nic nie zmieni w naszych relacjach z dziewczynkami. Będą nas kochać cały czas tak samo. A dzięki temu, że nauczą się wielu rzeczy, nam będzie łatwiej.

W końcu się zgodziła. Znaleźli najlepszą według nich placówkę, która na dodatek mieściła się niecały kilometr od domu. Pierwszy raz do przedszkola zaprowadził Lenę Andrzej. Ola nie była

w stanie. Przeplakała całą noc, a rano szybko wyszła z domu z Zosią na spacer, żeby nie stresować starszej córki. Był wdzięczny żonie za takie zachowanie. Już nieraz widział, jak dzieci chłoną emocje rodziców, ich uprzedzenia.

Sam bał się psów, ponieważ jego matka zawsze się napinała na widok każdego, niezależnie od rasy czy wielkości. Dopiero po latach się dowiedział, że gdy była nastolatką, jakiś duży pies gonił ją po lesie, a gdy dopadł, dotkliwie pogryzł w nogę. Sama rana nie okazała się groźna, ale traumę wywołały bolesne zastrzyki na wściekliznę, które musiano jej podać.

Woźniak starał się nie okazywać przy dzieciach skrajnych emocji. Podobnie było w przypadku pójścia do przedszkola. Lękał się, lecz o nowym etapie w życiu najpierw starszej, a potem młodszej córki opowiadał z uśmiechem na twarzy.

Z tamtego okresu pamiętał nie tylko to, jakie wyzwanie stanowiło to dla jego żony, ale również to, jak różnie jego córki zareagowały na tego typu przybytek. Starsza, Lena, poszła bez jakiegokolwiek problemu. Przekazana opiekunce pomaszerowała do sali, zostawiwszy zatroskanego ojca wśród innych rodziców. Wcześniej wymyślali z żoną przeróżne scenariusze, jak może się zachować, a zupełnie nie brali pod uwagę tego najlepszego. Że będzie zadowolona i chętna na zabawę z innymi dziećmi, bez mamy i taty u boku. Za to z drugą córką, Zosią, odbyło się zupełnie inaczej. Już w samochodzie zaczynała popłakiwać. Siostra opowiadała jej o przedszkolu, ale gdy tylko stanęli przed budynkiem, schowała się za nogami taty i nie chciała iść. Za pierwszym razem wnieśli ją do środka siłą, a Woźniak został z nią kilka godzin. Zamierzał później wrócić sam do domu, lecz mała wybiegła za nim, łkając, jakby ktoś robił jej krzywdę.

Ten horror trwał ponad miesiąc, aż doszli do wniosku, że nie mają sił, i znaleźli opiekunkę, która zajmowała się trzema innymi

dzieciakami. Dopiero po dwóch latach podeszli jeszcze raz do tematu i wtedy zaskoczyło.

Mimo wszystko przedszkole powinno kojarzyć się z beztroską i bezpieczeństwem, tymczasem teraz na terenie takiej placówki ktoś zrobił coś najgorszego.

Woźniak wysiadł z samochodu i powędrował za kolegą, komisarzem Wojtkiem Brodnickim. Znali się z widzenia, raz gadali podczas świątecznego eventu na komendzie. W czasie jazdy próbował sobie przypomnieć, o czym rozmawiali, ale w głowie nic się nie skryształizowało. Słyszał o mężczyźnie sporo dobrego, więc gdy komendant zakomunikował, że chwilowo będzie pracować z nim, nie miał z tym żadnych problemów.

Weszli do przestronnego holu, przy którym znajdowała się szatnia. Woźniak od razu poczuł szybsze bicie serca. Zawsze go rozbrajały małe ubranka, miniaturowe mebelki. Gdyby nie ogrom obowiązków związanych z domem i jego pracą, która mocno komplikowała życie rodzinne, miałyby co najmniej czwórkę dzieci. Uwielbiał ten gwar generowany przez maluchy, śmiechy, zabawy. Zawsze chciał zbudować swoją rodzinę na wzór tej, w której się wychował – a miał pięć młodszych sióstr. Dom powinna wypełniać gromada dzieci, składająca się z więcej niż dwójki maluchów. Niestety życie nie pozwalało na realizację tego marzenia.

– Panowie muszą ją szybko stąd zabrać! – Nagle pojawiła się kobieta z burzą siwych loków i w kolorowym swetrze. – Ci policjanci, którzy przyjechali, mówią, że nic nie mogą teraz zrobić. Mam wrażenie, że oni się objijają. Stoją z założonymi rękoma i gadają sobie jak przekupy na straganie. Tak nie można! – trajkotała, cały czas nerwowo skubiąc rękaw.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a Woźniak tylko pokręcił głową. Reakcja ludzi na tego typu sytuacje często go dziwiła. Niestety wiele osób nie rozumiało, że to, co się wydarzyło, wymaga

pracy niezliczonej ilości funkcjonariuszy i nie tylko, a pośpiech nie jest dobrym doradcą. Skupiali się na swoich problemach, a nie na tragedii, która kogoś dotknęła.

– Dzień dobry, nazywam się komisarz Wojtek Brodnicki, a to starszy aspirant Andrzej Woźniak, a pani jest...?

– Arleta Grzęda, jestem tutaj dyrektorką. – Kobieta się wyprostowała, dumnie wypychając pierś do przodu. – Toż to jakaś masakra. Już część dzieci odebrano, a te, których rodzice jeszcze nie dotarli, zostały zabrane przez opiekunów do parku. Dzisiaj jakoś sobie poradzimy bez dostępu do sal, ale jutro od rana bezwzględnie musimy tutaj pracować. Przecież rodzice nie mają z kim zostawiać dzieci. Na nas spoczywa bardzo duża odpowiedzialność. Musimy zapewniać im opiekę, dbać o nie, a także odciążać rodziców! – perorowała kobieta, raz po raz posapując głośno. – Jesteśmy bardzo ważnym trybikiem w życiu ludzi. Ci rodzice z pełnym zaufaniem powierzyli nam swoje największe skarby, a my musimy im...

– Niestety w tym momencie problemy rodziców są na końcu listy naszych priorytetów – przerwał jej komisarz, uśmiechając się subtelnie, a Woźniak zacisnął aż wargi, aby nie parsknąć. Mężczyzna perfekcyjnie zignorował utyskiwania kobiety. – Nasi ludzie będą tutaj pracować tyle, ile będzie trzeba, i jeżeli zamierza pani przeszkadzać w ich obowiązkach, będziemy musieli usunąć panią siłą. Mam nadzieję, że możemy liczyć z pani strony na współpracę...

Kobieta zrobiła wielkie oczy. Nic nie powiedziała, tylko delikatnie przytaknęła ruchem głowy.

– A teraz proszę pokazać, gdzie mamy iść.

Arleta Grzęda ponownie nie skomentowała słów policjanta, tylko żwawym krokiem ruszyła w stronę niewielkiego korytarza znajdującego się po przeciwnej stronie niż wejście do budynku.

Mężczyźni w milczeniu podążyli za nią. Minęli dwie sale, w których zapewne na co dzień bawiły się dzieci, i kobieta stanęła:

– To tutaj – rzuciła mechanicznym głosem, kiwając głową w stronę drzwi po lewej.

– Dziękujemy – odparł Woźniak i zrobił krok do przodu.

Stali w wejściu do kuchni, jednak zupełnie innej niż ta, jaką znali ze swoich domostw. Po dwóch przeciwnych stronach umieszczono metalowe regały, a na nich naczynia i pojemniki z suchą żywnością. Obok jednego z nich znajdowały się dwie wielkie lodówki, a na wprost – dwie kuchenki gazowe, każda z czterema palnikami. Na tej po lewej stronie tkwił olbrzymi garnek, znad którego unosiła się ledwo widoczna para.

Gdy tylko przekroczyli próg, Woźniak poczuł lekką ekscytację. Uwielbiał pichcić i to on o wiele częściej gotował w domu niż żona. Gdyby nie okoliczności, pewnie zacząłby oglądać wszystko, łącznie z garnkami. Zawsze w sklepach w alejkach z tego typu wyposażeniem brał do ręki każdy rondel i oglądał bardzo dokładnie, szukając idealnego. Ostatnio rozglądał się za patelnią do gulaszu. Na starej za każdym razem przypalał mięso, i to z reguły na ostatnim etapie, kiedy już było miękkie, tylko dopieszczał smak. Niestety w tym momencie musiał skupić się na czymś zupełnie innym.

Na środku pomieszczenia leżała martwa kobieta, ubrana w granatowe jeansy i ciemnozielony sweter. Część jej twarzy nie wyglądała naturalnie. Lewy oczodół, a także policzek pod nim zostały potraktowane czymś gorącym. Ze względu na miejsce, w którym się znajdowali, Woźniak od razu zaczął się rozglądać. Wysoce prawdopodobne było, że ktoś wykorzystał jeden z elementów znajdujących się w pomieszczeniu.

– Cześć wszystkim – odezwał się jako pierwszy komisarz Wojciech Brodnicki.

Dwóch techników krzątających się po kuchni mruknięto coś bliżej nieokreślonego.

– Dzień dobry – zareagował klęczący obok ofiary patolog Adam Wolski, nazywany przez niektórych Woltem, chociaż bardziej do niego pasowałoby przezwisko Pająk. Był niezwykle chudy, a jego pociągła twarz powodowała, że praktycznie każda nowo poznana osoba zawieszala na niej wzrok zdecydowanie za długo. – Gdzie pan zgubił moją ulubienicę?

Starszy aspirant Andrzej Woźniak zaśmiał się pod nosem. Wiele osób narzekało na jego koleżankę, ale gdy jej zabrakło, nagle każdy o nią dopytywał. Od kiedy pojechała na urlop, kilka osób zainteresowało się nieobecnością policjantki. I nie wystarczyła im zwykła informacja, że wyjechała. Musieli poznać szczegóły.

– Odpoczywa – odpowiedział po chwili.

– Od ciebie?

– Nie, dzwoni do mnie codziennie, więc chyba tęskni – skłamał. Dotychczas ani razu się nie odezwała. – Komendant kazał jej się zresetować. Ostatnio zdecydowanie za dużo pracuje, a jak wiemy, to nigdy nie prowadzi do niczego dobrego.

– To dobrze, już się zmartwiłem, że coś się złego wydarzyło.

– Proszę się nie stresować. – Woźniak zrobił krok do przodu i stanął niecały metr od ofiary. Z tej perspektywy robiła piorunujące wrażenie. – A co tutaj się stało?

– No co? – Mężczyzna się wyprostował i spojrzał przez ramię na przybyłych. – Ktoś jej przywalił gorącą patelnią, a kiedy leżała, zadał trzy ciosy w brzuch. – W tym momencie podniósł nieco górną część ubrania. Przez kolor swetra nie zauważyli tego, co ukrywał. – Kilka centymetrów poniżej mostka, mamy widoczne trzy otwory, z których już nie sączy się krew. Jej wyciek ustał w momencie, gdy serce przestało pracować, dlatego teraz

już nic z nich nie wypływa. Teraz ciśnienie spada, działa grawitacja i niedługo powstaną plamy opadowe. Zresztą w ciele ofiary dzieje się w tej chwili bardzo dużo. Nie wiem, czy się nad tym zastanawialiście, ale po śmierci człowiek momentalnie zaczyna się rozkładać, jakby chciał wrócić do matki ziemi, i...

– Narzędzie zbrodni jest tutaj? – odezwał się tym razem Brodnicki, przerywając lekarzowi medyczny wywód.

Woźniak pokręcił tylko delikatnie głową. Zawsze lubił, gdy medyk opowiadał o swojej dziedzinie i przemyśleniach związanym z ludzkim ciałem, a zazwyczaj tym, co dzieje się po jego śmierci. Robił to z wyraźnym szacunkiem, ale też w sposób niezwykle interesujący.

– Tego jeszcze nie wiadomo – odpowiedział stojący obok technik, który metodycznie fotografował wszystkie garnki zawieszona na olbrzymim stelażu. Woźniak pierwszy raz go widział, lecz nie dziwił się, że się nie znają. Ostatnimi czasy policja werbowała nowych funkcjonariuszy, aby wypełnić wakaty, które doskwierały jej od lat. – Niczego nie znaleźliśmy, ale jak wiadomo, to nic nie znaczy. Jesteśmy tu raptem od czterdziestu minut. Na pewno mamy narzędzie, którym dostała w twarz. – Obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni przez prawe ramię i wskazał na leżącą na blacie patelnię, na której przyczepione były resztki jedzenia. – To wygląda tak, jakby chwilę wcześniej ktoś na niej podgrzewał ziemniaki. Prawdopodobnie zdjął ją bezpośrednio z ognia, rozsypał jedzenie, a następnie uderzył kobietę. – W tym momencie mężczyzna machnął ręką na leżące na podłodze kawałki warzyw.

– Dziwne... – wymamrotał tymczasowy partner Woźniaka.

– I to bardzo – przyznał technik. – Sprawdzamy brakujące noże. Ta mało sympatyczna pani dyrektor ma odkopać spis ostrzy, jakimi dysponowali, ale mówiła, że będzie to trudne, ponieważ ostatnio jakaś pani oddała swój zestaw domowy, bo jak

stwierdziła, miała za dużo w domu, i nie zostało to jeszcze wpisane do żadnej ewidencji. Poza tym co chwilę coś znikało. Kobieta ma swoje podejrzenia, lecz powiedziała, że jak będziemy zainteresowani, to da nam znać, kto według niej kradnie rzeczy z kuchni. Nie wiem tylko, co to ma wniesć do naszej sprawy. Raczej nie chce mi się wierzyć, że osoba podkradająca noże zabiła koleżankę. – Mężczyzna sapnął i ponownie schylił się wraz z trzymanym w dłoniach aparatem w stronę porozwalanych naczyń.

– Mnie zastanawia, jak to się stało, że nikt niczego nie słyszał – rzucił medyk, patrząc uważnie na leżącą kobietę. – Ona musiała się niemiłosiernie drzeć. To oparzenie na twarzy jest sporych rozmiarów. Ostatnio dotknąłem tostera i myślałem, że zwariuję. Zrobił mi się maleńki pęcherz, ledwo dostrzegalny, a bolało, jakbym odkroił sobie co najmniej pół palca.

– Podobno wtedy trwały w jednej z grup zajęcia ze śpiewu – odezwał się znów technik zabezpieczający ślady. – Zresztą nie tylko jej nie słyszeli. Proszę zerknąć na regał. Jak dostała patelnię, musiała się o niego oprzeć, bo go przesunęła, co zapewne nie było bezdzwięczne. Może gdyby runął, ktoś by dotarł tu szybciej.

Facet zaczynał powoli denerwować Woźniaka. Był mu wdzięczny za informacje, ale zachowywał się tak, jakby koniecznie chciał się wykazać i musiał niczym nadgorliwy dzieciak odpowiadać na każde pytanie nauczycielki, nie dając szansy innym.

– To faktycznie mogli nie słyszeć. Ostatnio moje dzieci zrobiły sobie koncert, a była ich raptem trójka, i własnych myśli człowiek nie słyszał – odezwał się Wojciech Brodnicki.

– No to ja polecę klasyką... – Andrzej Woźniak spojrział na lekarza, a ten w mig wychwytał, o co zostanie zaraz zapytany.

– Przyczyna zgonu? – Mężczyzna podniósł głowę i spojrział w stronę przybyłych, posyłając im sympatyczny uśmiech.

– Tak. Wiem, że wspomniał pan o ranach kłutych, ale... może jest coś jeszcze, co mogło wywołać zgon? Czy jest pan pewien, że to one spowodowały śmierć kobiety?

– Jestem lekarzem sądowym od ponad dwudziestu lat, a to oznacza, że nie wróżę z wiatru, lecz ustalam przyczynę śmierci na podstawie badań, analiz, pomiarów. Gdybanie to nie moje zadanie. Mogą panowie pójść do przekupy na bazarze i z nią po-
deliberować. Na razie sądzę, że to ciosy zadane w brzuch spowodowały śmierć, ale więcej powiem po sekcji i analizie wyników wszelkich badań, które zlecę. Na chwilę obecną nie jestem w stanie powiedzieć na sto procent, co tutaj się wydarzyło, więc proszę nie ciągnąć mnie za język.

Policjanci kiwnęli głowami niczym skarcone przedszkolaki.

– To może skupmy się na razie na ofierze. Kto ją znalazł?

W tym momencie odwrócił się w ich stronę młody policjant, którego Woźniak również widział po raz pierwszy. Dotychczas stał w kącie, jakby unikał kontaktu z nimi. Robił wszystko, aby zlać się ze ścianą.

– W gabinecie pani dyrektor siedzi kobieta, która znalazła ofiarę, czeka na was – wydukał. – Trzeba wyjść z kuchni i skręcić w lewo. Trzecie drzwi po prawej.

– To czemu nie powiedziałeś od razu? – zareagował podniesionym głosem komisarz Brodnicki, a na jego czole pojawiła się pulsująca żyła.

– Ja... – Chłopak zapadł się w siebie. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – wtrącił Woźniak. Nie podobało mu się zachowanie młodego policjanta, ale dobrze pamiętał swoje początki, gdy zabranie głosu w towarzystwie starszych stażem kolegów stanowiło nie lada wyzwanie. – Gdzie to jest?

– No... Muszą panowie wyjść z kuchni i skręcić w prawo. To trzecie drzwi po prawej – powtórzył instrukcję.

– Dziękuję – rzucił jeszcze Woźniak i pognał za kolegą, który lekkim truchtem ruszył do oczekującej ich kobiety.

Moment później weszli do pokoju, na którego drzwiach przyczepiono wielką plakietkę z napisem „Dyrektor placówki”. Za biurkiem siedziała drobna blondynka. Gdy tylko usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, odwróciła się w kierunku przybyłych.

– Dzień dobry – wydukała i wstała. Po jej policzkach płynęły łzy, rozmazując makijaż. Od kącików oczu po żuchwę ciągnęły się czarne smugi z tuszu do rzęs, a dłonie kobiety dygotały ze zdenerwowania.

– Dzień dobry, ja jestem komisarz Wojtek Brodnicki, a to starszy aspirant Andrzej Woźniak.

– Dagmara Sosińska.

– Czym pani się zajmuje? – Komisarz przyciągnął sobie krzesło stojące pod ścianą, ignorując fakt, że kolega będzie musiał usiąść na dużym fotelu pani dyrektor lub stać.

– Pracuję tutaj jako opiekunka w grupie najmłodszych dzieci i to ja... – Urwała. Wyciągnęła z kieszeni sfatygowaną chusteczkę, po czym wydmuchała nos, wydając przy tym mało przyjemne dla ucha dźwięki. – Ona... Jezu... nie wiem, kto to mógł zrobić.

– Proszę na spokojnie. – Komisarz delikatnie się uśmiechnął. – Jak dzisiaj wyglądał dzień?

Blondynka podniosła głowę i otarła policzki, co spowodowało, że rozmazany makijaż pokrył jeszcze większą powierzchnię jej twarzy.

– Przyszłam o siódmej, to znaczy chwilę przed. Szefowa wymaga, żebyśmy byli wcześniej, aby wszystkie światła się już paliły, jak pierwsze dzieci przychodzą, żeby nie straszyć ich ciemnością. Kiedyś jedna dziewczynka przyszła o siódmej, gdy...

– I ktoś je odprowadza tak wcześnie? – wtrącił Woźniak i zmarszczył brwi.

Dagmara Sosińska pokiwała głową potakująco.

– Tak, niektórzy jeżdżą na ósmą do roboty, więc są tutaj w punkt. Nawet kiedyś paru rodziców próbowało wymusić, aby przedszkole było czynne od szóstej trzydzieści do siedemnastej trzydzieści, ale szefowa się nie zgodziła. To jest prywatna placówka, więc możemy więcej niż te państwowe, bo my też mamy rodziny, no i te dzieci... – Urwała w połowie zdania i pociągnęła głośno nosem, po czym przetarła go rękawem. – Panowie nawet nie wiedzą, jak niektórzy rodzice traktują swoje dzieci. Zostawianie ich tutaj na cały czas otwarcia placówki to żaden problem. Niektóre maluchy odbierane są przez nianie i później siedzą z nimi w domu bez rodziców. Przecież to dla nich koszmar. Nie wiem, po co oni je mają.

– Smutne – mruknął Woźniak, którego zawsze rozsierdzało takie podejście do rodzicielstwa. Nie każdy musi mieć dzieci. To nie jest obowiązek, ale policjant uważał, że już jak ktoś się decyduje na spłodzenie potomka, to wypadałoby się czasami nim zająć, a nie szukać dla siebie zastępstwa, i to każdego dnia, a nie okazjonalnie.

– I jak przyszła pani rano, to wszystko odbywało się normalnie? – odezwał się lekko poirytowany Borowski.

– Tak. Ci, co przywożą dzieci o świcie, byli chwilę po tym, jak otworzyłam drzwi. Maluchy zaczęły się powoli schodzić. Jak zwykle kilkoro wpadło w histerię, bez tego chyba się nie obędzie – zaśmiała się smutno. – Później mieliśmy śniadanie, a potem zajęcia w salach. Każdy coś robił. Do starszaków przyszła młoda dziewczyna, która prowadzi angielski, i to w tak niesamowity sposób! – W tym momencie się uśmiechnęła, ale widząc brak zainteresowania tą kwestią ze strony komisarza, ponownie posmutniała. – W pięciolatkach...

– O której znalazła pani koleżankę? – przerwał jej Brodnicki.

– O jedenastej z minutami. Poszłam uzupełnić wodę w dzbanku. Dzieciom rozlewamy do małych kubeczków, żeby sobie piły, kiedy chcą. W kuchni jest dystrybutor. Weszłam i ona... – Wydęła usta i zaczęła pociągać nosem. – Ona leżała na podłodze. Od razu wiedziałam, że nie żyje. Jej oczy były takie... puste.

– Dotykała pani czegoś?

– Nie, nie! – Kobieta energicznie pokręciła głową. – Oglądam te programy o mordercach i wiem, że nie można. Nawet jak wychodziłam, to starałam się niczego nie dotykać. Rozumiem, jak ważne są wszystkie ślady – dukała rozmówczyni ze słyszalną w głosie dumą.

– Czy widziała pani kogoś podejrzanego? – spytał komisarz.

– Nie.

– Jak można się dostać do przedszkola? – Brodnicki wyciągnął niewielki kajet i położył go na stoliku przed sobą. Niczego nie zapisał, zawiesił przyczepiony do okładki długopis nad kartką i czekał.

– Od frontu, jak wchodzi dzieci z rodzicami, no i od tyłu.

– Każdy może wejść?

– No nie. Aby dostać się od tyłu, trzeba mieć specjalną kartę lub znać kod.

– Kto ją ma lub dysponuje kodem? – Komisarz nie odpuszczał.

– No... pracownicy.

– Tylko? – Mężczyzna zmarszczył brwi i uniósł je wysoko, jakby nie do końca jej wierzył.

– Chyba tak... – Sosińska ponownie głośno pociągnęła nosem. – Chociaż pan z poczty też zna. Poprzednia dyrektor mu go podała, a obecna nie zmieniała. Tak mi się wydaje.

– Ktoś jeszcze? – Zanotował coś, nie odrywając spojrzenia od kobiety.

– Nie wiem. Ja jestem zwykłym pracownikiem.

– Będziemy potrzebować listy wszystkich osób, które mogą tamtędy wchodzić. – Brodnicki postukał kilkakrotnie w kartkę w notesie.

– Ale ja... ja nie znam wszystkich.

– No dobrze, poproszę panią dyrektor. – Zanotował coś w karcie i znów spojrzał na kobietę. Sympatyczny wyraz twarzy, którym uraczył ją na początku rozmowy, zniknął bezpowrotnie. – A od przodu budynku każdy może się dostać?

– Tak... ale... w sumie to nie – wydukała.

– Może pani po polsku? – Głos komisarza wręcz ociekał ironią. Stojący obok Woźniak był bliski interwencji. Nie podobał mu się ton kolegi.

– Można się nimi dostać, lecz w określonych godzinach.

– Jakich? – Komisarz podniósł długopis, którego końcówkę mocno poobgryzał.

– Od siódmej do dziewiątej i od piętnastej do siedemnastej.

– A co pomiędzy?

– Trzeba dzwonić domofonem. Tak dostają się spóźnialscy lub kurierzy. Czasami tych, co się regularnie spóźniają, przetrzymujemy przed drzwiami trochę dłużej, żeby może następnym razem przyspieszyli.

– Trzeba sprawdzić, czy ktoś nie grzebał przy furtkach. – Komisarz zignorował komentarz kobiety i spojrzał w stronę Woźniaka, który przysiadł na rogu biurka. – No i oczywiście jest opcja, że ktoś przeskoczył ogrodzenie. Z tego, co zauważyłem, nie jest trudne do sforsowania. Trzeba to sprawdzić.

– W sensie... czy da się przeskoczyć? – zareagował zdziwionym tonem starszy aspirant.

– Tak. Najlepiej samemu sprawdź, czy ty dałbyś radę. No i trzeba wziąć technika, żeby obejrzał ogrodzenie, czy nie ma gdzieś jakiegoś śladu. Może o coś zahaczył.

– Okej. Coś jeszcze? – spytał lekko wkurzony Woźniak. Od lat pracował z Kruk jako równy partner i dawno nikt nie wydawał mu rozkazów.

– Na pewno kamery... ale to zaraz. – Urwał i ponownie spojrział na kobietę. Ta właśnie wyrzuciła zmiętą chusteczkę do kosza pod stolikiem i wyciągnęła kolejną z opakowania stojącego na biurku pani dyrektor. – Proszę nam opowiedzieć o ofercie.

– Ala... to znaczy Alicja Kownacka była... Jezu, przecież to nie był człowiek, tylko anioł. Cudowna wychowawczyni. Nie wiem, jak ktoś mógł jej coś takiego zrobić. Poza tym... Boże! – Kobieta zapiszczała, a z jej ust wydobył się skrzekliwy płacz.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, nie wiedząc, o co chodzi.

– Ona ma... miała – poprawiła się – małą córeczkę. Milena, uroczą dziewczynka. I teraz będzie się wychowywać bez mamy. Jezu, jakie to straszne...

– Czy mąż lub partner pani Alicji został poinformowany?

– Chyba nie... – Pokręciła głową, wydmuchując głośno nos. – Nie wiem, czy pani dyrektor do niego zadzwoniła. Chodzi wkurzona i na wszystkich warczy. To jest dobra kobieta, ale czasami ma dziwne podejście do wydarzeń, które zaburzają jej plany. Strasznie się wtedy denerwuje i skupia na rzeczach, które nie są ważne. Niektórzy źle to interpretują, myślą, że jest bezduszna, jednak ona tak reaguje na stres.

– Ma pani kontakt do tego mężczyzny? – spytał Brodnicki mało uprzejmym tonem.

– Ja go nie znam. Widziałam może dwa razy. Raz podczas imprezy świątecznej i raz, jak odbierał Alę. Ale nigdy z nim nawet nie rozmawiałam.

– Dobra. – Komisarz postukał długopisem w notes i przygryzł policzek od środka. – Wróćmy do tego, co się działo. Czy widziała pani dzisiaj kogoś, kogo nie powinno tu być?

– N-nie – wydukała Sosińska i zaczęła ciągnąć nitkę zwisającą z rękawa.

– A czy zdarzyło się cokolwiek nietypowego?

– Nie.

– Czy słyszała pani jakieś dźwięki?

Kobieta podniosła wzrok na Woźniaka, a w jej spojrzeniu można było dostrzec coś na kształt prośby o pomoc. Jemu też nie podobał się oskarżycielski ton kolegi, lecz na razie nie chciał mu przerywać. Jeszcze nie teraz.

– No właśnie... ja sama nie wiem, jakieś dziwne coś. Dzieci głośno śpiewały, ale wydawało mi się, że...

– Tak? – Policjant pochylił się w jej stronę, powodując, że się jeszcze bardziej napięła.

– No... jakieś uderzenie. Jakby coś upadło albo ktoś o coś uderzył. Nie wiem sama.

– Ma pani pomysł, co to mogło być? – nie odpuszczał policjant.

Woźniak pokręcił tylko głową. Nie podobała mu się ta rozmowa. Wyglądała bardziej jak przesłuchanie podejrzanego niż próba wyciągnięcia ważnych informacji od osoby, która ma za sobą traumatyczne przeżycie.

– No pewnie jakieś naczynia, ale nie wiem.

– Kiedy to było?

– No... Ja... Próbuję sobie przypomnieć, ale... Przepraszam – sapnęła kobieta, raz po raz pociągając nosem, po czym rozpląkała się już na dobre.

Andrzej Woźniak wiedział, że więcej z niej nie wycisną i zaraz ruszą na przepytywanie wszystkich osób kręcących się w okolicach placówki, co w sumie mu odpowiadało. Liczył, że rozmowę z opiekunką uda się przeprowadzić później i niekoniecznie w obecności komisarza.